

Leszek Wojnar

prof. dr hab. inż.

Politechnika Krakowska, Wydział Mechaniczny, Katedra Informatyki Stosowanej

ORCID: 0000-0001-8786-3535

Z wiatrem i pod wiatr z Wojciechem Kosińskim

With the wind and against the wind with Wojciech Kosiński

Moje kontakty z profesorem Wojciechem Kosińskim w bardzo małym stopniu miały związek z tym, że obaj pracowaliśmy na Politechnice Krakowskiej. Połączyło nas głównie zamiłowanie do sportu, a konkretnie – do żeglarstwa. Na jachcie, szczególnie podczas regat, nie ma czasu na formułki w stylu: „Czy pan profesor byłby uprzejmy wziąć i mocno pociągnąć szoty foka?”. Niezależnie od różnicy wieku czy liter przed nazwiskiem usłyszymy raczej krótkie: „Wybieraj foka!”. Mogą też pojawić się dodatkowe określenia mające na celu wzmocnienie uwagi i przyspieszenie reakcji, ale nie będę ich w tym miejscu przytaczał. Tak czy inaczej, nasze kontakty nie miały charakteru służbowego. Ponieważ szybko się zaprzyjaźniliśmy, będę o profesorze Kosińskim mówił po prostu: Wojtek. Jeżeli używałbym innej formy, to byłoby to po prostu sztuczne i nieprawdziwe.

Niewątpliwie zamiłowanie do sportowej rywalizacji bardzo nas zbliżyło, a niektórzy nawet dopatrywali się wręcz fizycznego podobieństwa. Czy było w tym ziarno prawdy, można ocenić na podstawie naszego wspólnego zdjęcia z 2009 roku wykonanego na Jeziorze Czorsztyńskim.

Gdy po raz pierwszy spotkałem się z Wojtkiem Kosińskim, prowadził lekcję rysunku. Z tego spotkania zostały mi w pamięci jego dwie uwagi skierowane do dziewczyny przedstawiającej swoje prace. Pierwsza z nich brzmiała mniej więcej tak: „Drogie dziecko, musisz tak rysować, żeby twój rysunek rzucał się w oczy, a nie ginął w tłumie. Dlatego zmień ołówek z twardego na bardzo miękki. Twój rysunek stanie się od razu bardziej wyrazisty i w dodatku wykonasz go znacznie szybciej. A na egzaminie z rysunku będzie mało czasu...”



Il. 1. Razem z Wojtkiem na pokładzie jachtu, Jezioro Czorsztyńskie, 2009 r., fot. B. Szymańska

Druga uwaga była komentarzem do rysunku, na którym trzeba było narysować lecący samolot: „Twoim zadaniem było narysowanie samolotu, który leci. Tymczasem twój samolot stoi w miejscu, jak na lotnisku. Jeżeli chcesz, żeby leciał, to wystarczy zrobić ten sam rysunek na przekrzywionej kartce. Po jej wyprostowaniu okaże się, że narysowałaś samolot, który leci”.

Dwie uwagi – krótkie i proste, a trafiające w sedno sprawy. Myślę, że nie bez powodu je zapamiętałem, bo celnie odzwierciedlają psychikę i sposób działania Wojtka. Zawsze szukał wyzwań i skutecznych rozwiązań, a także był głodny sukcesu. Dlatego bardzo cieszyło go, że trwałą pamiątką jego młodzieńczej pasji do wspinania pozostała nazwa „zacięcie Kosińskiego”, którą nosi jeden z wariantów trudnych dróg wspinaczkowych na tatrzańskim Mnichu.

Żeglarstwem zajął się dość późno, ale sprawiało mu ono wiele radości. Również i w tej dziedzinie chciał być w czołówce, czego symbolicznym wyrazem było nazywanie jego jachtów „Asami”. Swoje jachty Wojtek trzymał na Jeziorze Czorsztyńskim, które jest nie tylko pięknie położone i mniej zatłoczone od innych akwenów, ale równocześnie nie wymaga długiego dojazdu od weekendowego domu, który Wojtek wyczarował ze starej stodoły koło byłego młyna w Łopusznej.



Il. 2. Dwa „Asy”, ale nie w rękawie, tylko na wodzie. Pierwszy „As” nieco dalej, po prawej stronie pomostu. Pod niebieskimi żaglami „As 2”, 2008 r., fot. autor

Pierwszym „Asem” było przepięknej urody kabinowe Tango, słynna konstrukcja Andrzeja Skrzata, która odniosła wiele sukcesów w regatach jachtów turystycznych. Egzemplarz, który kupił Wojtek, został zbudowany dla potrzeb firmy czarterowej. Miał niemal pancerną budowę, która zabezpieczała przed uszkodzeniem jachtu przez mało wprawnych żeglarzy czarterujących jacht. Niestety, podnosiło to masę jachtu, a w połączeniu z wyposażeniem go ze względów bezpieczeństwa w obniżony maszt oraz zredukowane ożaglowanie przestał być groźną maszyną regatową. Gdy popłynęliśmy razem na regaty, próbowałem bardziej agresywnego wykorzystania jachtu, ale jednak odstawał od czołówki.

Wielką miłością Wojtka był „As 2”, czyli po prostu poczwiwa Omega. W regatach na Jeziorze Czorsztyńskim nie obowiązują przepisy klasowe i każdy może startować na prototypowej jednostce. Wojtek wyposażył „Asa 2” w nowe żagle, które do maksimum wykorzystywały geometrię takielunku. Dzięki temu łódka była naprawdę szybka i zapewniła Wojtkowi całkiem pokaźny zbiór pucharów. „As 2” do dzisiaj pływa po Jeziorze Czorsztyńskim, gdyż Wojtek przekazał go w prezencie bosmanowi przystani, który przez wiele lat opiekował się jego jachtami. Pomimo swoich niewątpliwych waleorów nie była to jednak łódka zapewniająca dominację w klasyfikacji generalnej regat. Dlatego Wojtek kupił regatową maszynę Delphia 24, której nadał imię, jak łatwo zgadnąć – „As”. Można powiedzieć, że było to spełnienie jego marzeń o wygrywaniu regat.

Wielką radość sprawiały mu sukcesy jachtu nawet wtedy, gdy pogorszenie stanu zdrowia spowodowało, że najczęściej regaty oglądał z pomostu lub pokładu motorówki.



Il. 3. „Barba” i „Asa” przed startem regat, 2010 r., fot. B. Szymańska

W 2009 roku po raz pierwszy pojawiłem się na regatach na Jeziorze Czorsztyńskim z moim jachtem o imieniu „Barba”. Był to jacht międzynarodowej klasy Mikro. Zrobiłem nieco zamieszania, gdy podpływałem do przystani YKP w Niedzicy. Wśród stałych bywalców regat pojawiła się bowiem nieznana do tej pory łódka, w dodatku jeszcze oklejona reklamami i numerami startowymi, gdyż właśnie wróciłem z mistrzostw świata klasy Mikro, które odbywały się w Moskwie. Obawy przeciwników okazały się w dużym stopniu słuszne, gdyż na każdych regatach pływaliliśmy w czubie. Zgodnie z nazwą klasy łódka była krótka. Miała 5,5 metra długości, co od razu stawiało ją na przegranej pozycji w porównaniu z Delphią, której kadłub ma 7,3 metra długości i może nieść dwukrotnie większą powierzchnię żagli. Pomimo tej różnicy dość zażarcie kąsaliśmy „Asa”. Na jednych regatach po dwóch godzinach walki byliśmy na czele jeszcze 100 metrów przed metą. Niestety, Delphia pierwsza dostała silny podmuch wiatru i minimalnie nas

wyprzedziła. Nie trzeba chyba dodawać, że to zwycięstwo na ostatnich metrach bardzo Wojtka ucieszyło.

Współzawodnictwo regatowe sprawiło, że Wojtek przekonał się do moich umiejętności żeglarskich i kilkakrotnie zapraszał mnie na wspólne wypady na wodę na pokładzie „Asa 2”. Przyjmowałem te zaproszenia z radością, bo zawsze darzyłem pocziwą Omegę dużym sentymentem, a Wojtek potrafił ciekawie opowiadać i nigdy nie nudziłem się na wodzie.



Il. 4. Wojtek z Gałganem i ulubione miejsce Gałgana, sylwester 2011 r., fot. autor

Bazą do regat był dla Wojtka najczęściej wspomniany już adoptowany ze stodoły dom w Łopusznej. Lokalizacja jest urokliwa. Nie ma wprawdzie imponujących widoków, ale wysokie drzewa dają chłód podczas upałów, a płynący kilkanaście metrów od domu Dunajec koi nerwy swoim szumem. Oczywiście w przypadku wysokiej wody potrafi podnieść poziom adrenaliny i wdrzeć się do najniższych partii budynku. Gdy się do niego wchodzi, od razu czuje się, że to rezydencja architekta. Wnętrze jest proste, niemal surowe, ale ciekawie rozwiązane. Wszechobecne drewno sprawia, że staje się bardzo przytulne pomimo dość oszczędnego, w sensie liczby mebli, wyposażenia. Spotykaliśmy się tam nie tylko przy okazji regat. Co prawda na piętrze nie ma zbyt wielu łóżek, ale do dyspozycji jest duża podłoga, więc nie ma problemu z rozłożeniem materacy i wygodnym spaniem. W celu zaoszczędzenia miejsca w niewielkim domu Wojtek wprowadził bardzo strome schody z asymetrycznymi stopniami. Okazały się całkiem wygodne i nie wymagały małej sprawności. Stanowiły jednak doskonałe zabezpieczenie przed nadużywaniem płynów zawierających w swoim składzie alkohol etylowy.

Wojtek przyjeżdżał do Łopusznej ze swoją żywą maskotką, którą był syberyjski kot o wiele mówiącym imieniu Gałgan. Jak przystało na zwierzę przystosowane do syberyjskich mrozów, Gałgan lubił ciepło. Jego ulubionym miejscem w zimowe wieczory była przestrzeń pod kominkiem, w której panowała naprawdę wysoka temperatura. Tolerował inne osoby, ale tylko u gospodarza z lubością mościł się na kolanach.

Łopuszna jest miejscem, w którym Wojtek lubił pracować. Siadał przy niskim stole, rozkładał laptopa i pisał książki lub recenzje. Niewiele rzeczy przeszkadzało mu w twórczej pracy, bo wszechobecna telefonia komórkowa ma w tym miejscu jedynie szczątkowy zasięg, zaś o internecie można zapomnieć. Niejednokrotnie zdarzało nam się długo pogwarzyć w tym magicznym miejscu. Trudno byłoby mi napisać, co zyskałem dzięki znajomości z Wojtkiem i chyba nie ma większego sensu silić się na takie podsumowanie. Myślę, że wystarczy, jeśli powiem, że po prostu mi go brakuje.